

## Odpoczywający Apostoł

*Wtedy Apostołowie zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co działali i czego nauczali. A On rzekł do nich: Pójdźcie wy sami osobno na miejsce pustynne i wypocznijcie nieco. Tak wielu bowiem przychodziło i odchodziło, że nawet na posiłek nie mieli czasu. Odplynęli więc łodzią na miejsce pustynne, osobno. Lecz widziano ich odpływających. Wielu zauważyło to i zbiegli się tam pieszo ze wszystkich miast, a nawet ich uprzedzili. Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce nie mające pasterza. I zaczął ich nauczać.*

*Mk 6, 30-34*

Drodzy!

Wróciliśmy z kolejnej misji. Jak zawsze pełnej wrażeń, zabiegania, kłopotów, problemów. Sam już nie wiem ile przebyłem z moim towarzyszem kilometrów po drogach Galilei (bo Jezus zawsze wysyłał nas po dwóch). Czas mieliśmy wypełniony od rana do wieczora. Nauczanie, uzdrawianie, rozmowy przy posiłkach, wieczorne dyskusje, ciągnące się czasami aż do białego rana. Nawet nie było chwili, aby pomyśleć o jakimś odpoczynku. Wiedzieliśmy wszyscy, że po prostu tak trzeba, że nie robimy niczego nadzwyczajnego. Kiedy coś jest ważne, konieczne, to po prostu trzeba „zakasać” rękawy i pracować, posługiwać. I człowiek w takich chwilach wcale nie robi z siebie jakiegoś męczennika. Wydaje mu się, że jest to normalne, naturalne. Czy matka zajmująca się od rana do wieczora dziećmi, domem, nieraz padając ze zmęczenia ma inne wyjście? Czy ciągle się zastanawia jak wielkie rzeczy czyni, jak bardzo się poświęca? Gdy jesteśmy przekonani o konieczności, wadze, tego co winniśmy w danym momencie czynić, nawet jeśli przychodzi zmęczenie, brak czasu dla samego siebie, to niekoniecznie trzeba od razu rozpaczać i załamywać ręce - w takich momentach towarzyszy nam świadomość, że tak trzeba, że jest to normalne, jest to najczęściej konsekwencja naszych decyzji, wyboru, stanu, stylu życia itd.

Tak było z naszą misją. Dni w niej wypełnione były od świtu do nocy. Gdy wróciliśmy do Jezusa, każdy z nas chciał zdać osobistą relację, z tego wszystkiego, co udało mu się zdziałać. Jakie były sukcesy, te małe i większe, a jakie niepowodzenia. Kogo udało się nawrócić, kto został uzdrowiony. Jezus wyraźnie chciał wysłuchać wszystkich, każdemu poświęcić choć chwilę uwagi. Słuchał niezwykle uważnie, pomimo naszego chaosu myśli, a jeszcze mówiliśmy jeden przez drugiego, chcąc jak najszybciej wyrzucić z siebie wszystkie emocje, które towarzyszyły naszym wysiłku. Przecież tak mocno tęskniliśmy za samym spojrzeniem Jezusa, za jego zrozumieniem dla tego wszystkiego, czego udało nam się dokonać. Każdy człowiek chyba pragnie właśnie takiej akceptacji - nie pochwalenia wszystkiego co czynimy - lecz rozumienia: naszych radości, bólów, smutków, trosk, niepowodzeń. Po prostu wszystkiego. Radość naszego życia nie polega tylko na tym, że coś nam się udało, ale przede wszystkim na tym, że mamy to z kimś dzielić. Zarówno sukcesy, jak i niepowodzenia. I dlatego chcieliśmy, aby Jezus „ucieszył się” tym, co w nas się dokonało, czego się nauczyliśmy. Marzyliśmy, aby dać mu cząstkę nas samych, naszych doświadczeń.

Niezwykła była odpowiedź Jezusa na nasze oczekiwania. On nas rozumiał! Potrafił się wśluchać, wręcz zasłuchać się w nasze chaotyczne opowiadania. Interesowało go wszystko. Wielkie i małe rzeczy. Drobiazgi, nieistotne szczegóły. Bo wiedział, że dla nas również i one były ważne. Słuchał, i słuchał i nagle powiedział: „Pójdźcie wy sami osobno na miejsce pustynne i wypocznijcie nieco”. Zaskoczył mnie. Czasami patrzyłem na Jezusa jak na kogoś niezwykle, który dla swojej misji poświęca wszystko, dąży do określonego celu, wszystko inne trzeba zostawić na boku: nawet prawo do odpoczynku. A w tym momencie Jezusa okazał się tak bardzo... ludzki. Wiedział jak potrzebujemy teraz wytchnienia, odpoczynku, choćby kilka chwil dla siebie. I to tylko dla siebie. Aby nabrać dystansu do wielu spraw, odnaleźć wewnętrzny spokój, który łatwo gubi się w tym codziennym biegu. Sprawa goni sprawę, myśl wyprzedza myśl. I tak bez końca. Uciszyłem się pomysłem Jezusa. Spędzimy jakiś czas na pustyni, z dala od zgiełku, innych ludzi, sami. Będzie czas na rozmowy, spokojne posiłki, a najbardziej cieszyłem się z jednego - będzie czas na dłuższą, osobistą modlitwę. W

tym „misyjnym zabieganiu” niezwykle brakowało mi dłuższej modlitwy, do której bardzo się już przyzwyczaiłem. Tak byliśmy „oblegani” przez ludzi, że oddalenie się od nich była niemożliwe. Nie chciałem uciekać od ludzi. Wydawało mi się, że oni potrzebują nas, że po to właśnie zostaliśmy wysłani przez Jezusa. Modlitwa osobista, długa, była tylko marzeniem.

Długo nie czekaliśmy. Szybko spakowaliśmy nasze rzeczy, wsiedliśmy do łodzi i postanowiliśmy znaleźć osobne, pustynne miejsce, gdzie spędzimy jakiś czas. Okolica była słabo zamieszkała, więc znalezienie „małego” odludzia nie powinno być trudno. Rozczarowanie nasze było jednak wielkie. Gdy dopływaliśmy do miejsca, które uważaliśmy za idealne dla samotniczego odpoczynku - przerażiliśmy się. Zamiast pustynnego krajobrazu zobaczyliśmy... tłum ludzi. Oni już na nas czekali. Skąd się tutaj wzięli? Czyżby śledzili nas? W promieniu kilkunastu kilometrów nie ma nawet najmniejszej wioski, miasteczka. Co będzie z naszym odpoczynkiem? Z napięciem czekałem na decyzję Jezusa. Karze zawrócić? Szukać innego miejsca? Zdenerwuje się? Jezus przyglądał się tłumowi. Jakby chciał się zapytać każdego stojącego na brzegu: „Dlaczego przyszlście? Czyżby Wam tak bardzo zależało na moich słowach?” Wydawało mi się, że twarz Jezusa wypełniła się współczuciem, litością dla tych ludzi. Nie myliłem się. Kazał przybić do brzegu. Wysiadł i zaczął nauczać. A co z nami?

Początkowo byłem bardzo zły na Jezusa. Nie słuchałem tego, co mówi, cały byłem zanurzony we własnych myślach i emocjach. Dlaczego nie kazał nam zawrócić, poszukać innego miejsca. Dlaczego - choć jeden jedyny raz - nie uciekliśmy od tego tłumu. Czy nam się już nic nie należy? A tak bardzo czekałem na chwilę dłuższej, osobistej modlitwy. Nagle jednak uświadomiłem sobie, że moje życie uległo bardzo dużej zmianie. Dawniej, gdy byłem sam, niezależny, bez tylu obowiązków, zajęć mogłem o wiele planować swój czas. Był to tylko mój czas. Teraz to on bardziej zaplanowany przez to co robię, kim jestem, jakie jest moje powołanie. Nawet przez to jest o wiele trudniej znaleźć czas chociażby na dłuższą, osobistą modlitwę. Może więc powinienem przestać tęsknić za „tamtym” stylem życia modlitwą (długie, samotne chwile) a odnaleźć i zaakceptować inny styl. Bardziej właściwy memu powołaniu. Wcale nie gorszy, mniej pobożny - po prostu właściwszy dla tego, jak teraz żyję i co robię. A przez to nie mniej głęboki. Dawnej szukałem czasu w dniu powszednim na modlitwę, a może teraz trzeba zacząć się bardziej modlić dniem powszednim. Jak? Przede wszystkim wydaje mi się, że muszę mieć świadomość (od czasu do czasu wyrazić ją Bogu i sobie), że to, co robię -ostatecznie - i tak czynię dla Niego. Nawet te najmniejsze, codzienne czynności. Czy jest to zajmowanie się dziećmi, sprzątanie mieszkania, dbanie o czystość, obowiązki domowe, zawodowe - one wszystkie mogą przybliżać mnie do Niego. Bo w tym wszystkim chodzi przecież o dobro moich bliskich, moje osobiste. Chcę wypełnić największe powołanie, jakie od Niego otrzymałem - do bycia dobrym i dzielenia się tym. I warto, aby czasami pojawiała się w nas taka myśl: „Panie Boże, Ty wiesz, że w tym całym zabieganiu, obowiązkach Ty naprawdę jesteś obecny. Chcę żebyś był obecny. Jeśli teraz biegam wokół wielu, drobnych, przyziemnych rzeczach - to i tak w tym wszystkim chodzi najczęściej o większe rzeczy. Wielkie rzeczy. One są zasadniczym celem, do którego zmierzam, do którego dążę. I dlatego Ty jesteś obecny w tym wszystkim. Moja modlitwa jest nie tylko modlitwą w dniu powszednim, Boże, ale także całym dniem powszednim”. Może także warto sięgać do prostych „westchnień do Boga”, takich naturalnych, codziennych, nasuwających się spontanicznie - gdy jest nam radośnie, smutno, ciężko. Westchnąć sobie „Boże, dzięki Ci za moje cudowne dzieci”, gdy patrzę na ich uśmiech, czułość bezbronność; czasami zawołać „Boże, dodaj cierpliwości”, gdy jej brakuje; „Panie, dodaj sił”, gdy ich już prawie nie ma; „Ty wiesz, Boże, jaka była moja intencja”, gdy coś nagle nam się wymyka z rąk; „Dzięki Ci, Panie, że dałeś mi tak niezwykłych ludzi, którzy mnie kochają”. To wcale nie jest gorsza modlitwa, od tych długich, samotnych, gdy czas jest tylko dla Boga, wypielęgowany i spokojny. Taki czas też się kiedyś znajdzie. Może teraz rzadziej. Bo na jakimś etapie naszego życia nie ma go już tyle, co dawniej, gdy mogliśmy bardziej swobodniej dysponować samym sobą. Podobnie z tą modlitwą na koniec dnia. Wyrzucamy sobie, że ona jest taka krótka, przeniknięta całodziennym zmęczeniem. To nic. Kiedy czasami tak mocno zmęczeni stajemy przed Jego obliczem i zanosimy do Niego naszą modlitwę, pamiętajmy - ona ma swoją niezwykłą wartość. Nie do nas należy jej ocenianie. Najważniejsze jest to, że ona jest, że pragnę w tych kilku

wieczornych odruchach serca wyrazić to, czym żyłem w ciągu dnia, co dla mnie jest ważne, jak ciągle potrzebuję Jego pomocy.

Tak bardzo byłem pogrążony w swoich myślach, że nawet nie zauważyłem, że nagle zrobiło się niezwykle cicho. Rozejrzałem się wokół siebie. Po tłumach nie było ani śladu. Wszyscy wrócili do swoich domów. Pozostali tylko moi bracia, uczniowie Jezusa. Rozpalili już ognisko i zaczęli przygotowywać kolację. Nie chcieli mi przeszkadzać, tak podobno byłem zanurzony w zadumę i modlitwę. A ja nawet przez chwilę się nie modliłem. Tylko zamyśliłem się nad modlitwą - nad modlitwą dniem powszednim. Taką w codzienności, zabieganiu, zgiełku, wśród tysięcy obowiązków, zmęczenia, radości. Tam także można się modlić i znaleźć chwilę wytchnienia. Zapomniawszy o zmęczeniu z ochotą pobiegłem pomóc im w przygotowaniu posiłku.

Wasz wypoczęty Apostoł